

ŚPIEWANIE NA POLACH

#8



Zamiast w fotelach teatralnych widzowie przysiadali wśród traw

Fot. Beata Zaborowska

reporter magazyn gazety olsztyńskiej
dziennika elbląskiego // piątek / 9 maja 2003 r.



Missa pagana

>> Poemat Edwarda Stachury z muzyką Mieczysława Litwińskiego wykonał 3 maja zespół kompozytora i Teatr Wiejski Węgajty. Spektakl odbywał się wśród pól i lasów — wieczorem i po zachodzie słońca. Poszczególne jego partie aktorzy przedstawiali na łące, nad stawem, na myśliwskiej ambonie, a nawet w zapadłej leśnej ziemiance. Przemieszczając się od sceny do sceny aktorzy i widownia tworzyli na pustych polach niesamowity pochód.

— Wybraliśmy tę scenerię, bo takie jest przesłanie poematu zawarte już w pierwszych jego słowach: „Dla wszystkich starczy miejsca pod wielkim dachem nieba”. Poza tym Edward Stachura i drugi bohater sobotniego wieczoru — nieżyjący również poeta Andrzej Suryn — odwiedzali okolice Węgajty — mówi Wacław Sobaszek z teatru Węgajty.

Śpiewanie poematu odbywało się bowiem ku pamięci Suryna, z okazji wydania pośmiertnego tomiku jego wierszy pt. „Rozmowy z Tomaszem”.



Mieczysław Litwiński, kompozytor muzyki do poematu gra na kamieniach

Fot. Beata Zaborek

ŚPIEWANIE na polach i lasach

Lech Kryształowicz

nagle wśród wieczornego śpiewu skowronków pojawili się na szczytach wzgórz. Za plecami mają zielone wzgórza, ciężkie, stalowe chmury i czerwone zachodzące słońce. W kapeluszach, chustach, czapkach, w płaszczach kapotach, pełerynach, z węzełkami, plecakami, walizkami, parasolami i kijami w rękach. To wędrowcy. Los tak chciał, że na ten wieczór zeszli się w jednej z dolin pod Węgajtami.

Naprzód, naprzód, naprzód hej — rozlega się ich śpiew po wzgórzach. Jest nierówny, więc nie wiadomo, czy to jeszcze oni, czy już echo.

Konwulsje nad stawem

Wędrowcy mijają zgromadzony na dnie doliny tłum i powoli oddalają się.

Dla wszystkich starczy miejsca pod wielkim dachem nieba — słychać coraz słabiej.

Ludzie z doliny ruszają za nimi. Wędrowcy docierają nad śródpolny zarastający staw. Po jednej stronie oni,

po drugiej ludzie, jedni stoją, drudzy siedzą.

Bez sumienia i bez drżenia, bez miłości, bez czułości. Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina — śpiewają wędrowcy, a kończąc śpiewanie jakby zwiłali się w konwulsjach. Z ostatnim dźwiękiem zastygają. Potem wolno wolno prostują się i ruszają w dalszą drogę. Trzy kroki w przód i jeden w tył. Trzy w przód i jeden w tył. Publika otacza ich półkolem.

Kamienna muzyka

Sterta kamieni. Wędrowiec w brązowym kapeluszu kłeka przed nią, ujmując w ręce dwa nieduże otoczaki i trze nimi o głazy. Początkowo cicho, potem głośniej i głośniej. Artysta zaczyna wystukiwać rytm, raz regularny, raz szarpany. Kamiennie trzaski przebiegają się w kamienną muzykę. Twarze widzów — kamienne. W przerwach między taktami — cisza i skowronki.

Wędrowiec w kapeluszu podchodzi teraz do kamien-

nej piramidy. Ustawił ją przed kilku laty nieżyjący już poeta Andrzej Suryn.

To na jego cześć Teatr Węgajty wystawia dziś ten spektakl. To Missa Pagana Edwarda Stachury. I jeden, i drugi nieraz bywał w tych okolicach, chodził po tych polach.

Kamienny koncert powtórza się. Kiedy milknie, z lasu rozlegają się dźwięki trąby.

Gloria na ambonie

Pochód rusza dalej. Wędrowcy biorą swoje tobołki i idą. Zza pagórka wyłania się myśliwska ambona. Wędrowcy obsiadają ją niczym ptaki. Walizkowe harmonium indyjskie zaczyna buczyć. Dziewczyna w kapelusiku z lat trzydziestych wysokim głosem wyśpiewuje:

*Chwała tobie trawo
przychylna każdemu*

*Gloria gloria — wtóruje
jej chór*

*Chwała tobie słońce,
stary ty odyńcu
Gloria gloria*

Dziewczyna stoi na drabinie. Trzyma się jej jedną ręką, ale w jej ruchach jest tyle swobody, jakby stała na płaskiej scenie. Jej perlisy śpiew leci w niebo. Zapada zmierzch. Widać ją coraz mniej, ale jej śpiew jest coraz bardziej przejmujący. Publika wśród traw jest zauroczona. Kiedy śpiew milknie, zapada na chwilę skowronkowa cisza, a potem zrywają się oklaski.

— Co łaska, proszę, co łaska — zachęca ten od kapelusza. Ludzie wrzucają niczym w kościele, papierowe — też.

Smutne cudne manowce

Teraz orszak przenosi się na skraj lasu. Leży tu kupa kamieni. Pewnie uskładał ją przez lata jakiś rolnik. Dziś cały ten jego trud na nic. Jego pole to ugor, manowce zarastające brzozaami.

Wędrowcy stają nad kamieniami niczym nad grobem.

*Jak lizać rany celnie
zadane — śpiewają.*

>> Pochód rusza
dalej. Wędrowcy
biorą swoje to-
botki i idą. Zza
pagórka wytania
się myśliwska
ambona. Wę-
drowcy obsiadają
ją niczym ptaki.
Walizkowe har-
monium indyjskie
zaczyna buczyć.

*Jak lepić serce w proch
potraskane.
Jak dawać dużo, gdy
można mało.
Jak biec bez końca, potem
odpoczniesz
cudne manowce,
cudne manowce.
Na koniec każdy rzuca
kamień na kupę, jak na
trumnę nieboszczyka.*

Zielona kurtyna

Spod lasu wędrowcy ru-
szają przez ugór w kierunku
brzóz. Idą gęsiego. Ich wąż
wije się wśród traw. Jest już
prawie ciemno. Tak docho-
dzą do brzózek i nagle giną
za nimi niczym za zieloną
kurtyną. Kiedy śledząca ich
gromada dociera do nich, są
już ustawieni w koło. Zaczyna
się następna scena tego
misterium.

Aktorzy kręcą się wkoło,
jedna ręka wyciągnięta ku
górze.

*Święta, święta święta
ziemia, co nas nosi,
święte wędrowanie,
święty w polu kamień,
przysiądź na nim Panie.*

Leśne głosy

Ruszamy do lasu. Wę-
drowcy jak zwykle przodem.

W lesie ciemno, że oko
wykoł. Ten w kapeluszu na-
gle się odwraca. W ustach
ma jakiś instrument. Zaczyna
na nim brzdąkać i coś mru-
czyć jednocześnie tarasując
drogę. Pochód niemal staje.
W końcu ten w kapeluszu
usuwa się na bok. Tłum ru-
sza, a po chwili z lasu sty-
chać głosy i szepty.

— Oto twoja droga.

— Jest taka, jaka myślisz.

— Nie możesz się zatrzy-
mać.

Gdzieś tam w lesie rozle-
gają się trzaski. Wśród traw
pobłyskują świetliki. Robi
się niesamowicie. Jest tak
ciemno, że każdemu wydaje
się, iż jest sam. W taką noc,
w takim lesie można uwie-
rzyć w czary.

Gwiazdy jak świece

Po jakimś czasie z mroku
wyłaniają się niktłe promyki
świec. Tworzą trójkąt w tra-
wie. Wędrowcy zaczynają na
czymś grać. Dźwięk jest dziw-
ny. Kiedy wzrok przywykła do
światła widać, że to kieliszki.

*Nie jesteś sam — powta-
rzają po wielokroć.*

Zaczyna padać.

*Sto miliardów słońc nigdy
nie gaśnie — nucą w desz-
czu.*

Odnajdź w niebie siebie.

*Otwórz oczy, popatrz
promień gwiazd.*

*Otwórz oczy — powtarza-
ją. Kiedy milkną, spoglądam
w niebo. Dokładnie nad na-
mi Wielki Wóz. Gwiazdy są
niewiele mniejsze niż ogniki
świec w trawie.*

*Ruszamy w dalszą drogę
— w ciemność.*

Trumna czy złódek?

Niktłe płomyki świec wy-
dobywają z mroku resztki le-
śnej ziemianki. Z ciemności
wystają jakieś drągi, krzaki
i postacie. Wszystko drga
w płomykach świec, czuć za-
pach przypalanych traw.

Wędrowcy wyklinają śmierć.

Byli tacy, co się rodzili

Byli tacy, co umierali

Byli też i tacy,

co im to było mało.

Kto ci dał do ręki ostrą

broń

*zwyczajna ty wariatko —
pytają śmierć.*

Kończą. Cisza słychać tyl-
ko skrzypienie drzew i w od-
dali rechot żab. W milczeniu
rozchodzą się. W wejściu do
ziemianki na ziemi leży
dziewczyzna. Pałają się przy
niej trzy świece. Wygląda
jakby spała, a może umarła.
Może to miejsce śmierci,
a może tajemny złódek, jak
z Betlejem? Ludzie stają, pa-
trzą i nie wiedzą. Odchodzą.

Komórki i świetliki

Przystanek na leśnej dro-
dze. Widać tylko światelko
z przodu. Ponurymi głosami
wędrowcy nucą:

*Człowiek człowiekowi
wilkiem*

*Lecz ty się nie daj
zwilżyć.*

Final jednak brzmi opty-
mistycznie

*Człowiek człowiekowi
bliźnim.*

*Z bliźnim możesz się
zabliźnić.*

Znowu skraj lasu. Zimny
wiatr zacina od pola.

Aktorzy klęczą, w środku
światło. Na niebie, choć siąpi
— gwiazdy.

*Zaprawdę godnym i spra-
wiedliwym, słusznym i zba-
wiennym jest*

*śmiać się głośno, płakać
cicho — śpiewają wędrowcy.*

*Zaprawdę godnym i spra-
wiedliwym, słusznym i zba-
wienny jest,*

żeby człowiek był

człowiekiem,

*żeby w życiu onym spra-
wiedliwym był i godnym.*

I tego się trzymać trzeba.

Idziemy dalej, wiatr targa
ubraniami. Stąpamy po omac-
ku, tylko to światelko z przodu
i świetliki w trawie. Nie-
którzy przyświecają sobie te-
lefonami komórkowymi.

Chlebem łamanie

Przystanek w środku pola.
Gdzieś w oddali pojedyncze
małe światelko. Jesteśmy
rozbitkami na morzu ciem-
ności. Aktorzy klęczą.

*Weź to, co się tu daje,
w imię słońca i jego gońca —
skowronka gwizdzącego.
Amen — mówią, i dzielą się
chlebem między sobą i z pu-
bliką.*

Łamamy się nim jak
opłatkiem na wigilię. Chleb
jest płaski, smaczny, pachnie
zakwasem i lepi się do rąk.

*Rozejdźcie się po dro-
gach, łąkach, po rozłogach.
Dla wszystkich starczy miej-
sca pod wielkim dachem,
nieba. Naprzód, naprzód,
naprzód hej — śpiewają wę-
drowcy.*

Ich pojedyncze głosy roz-
chodzą się coraz dalej z róż-
nych stron. Dalej i dalej. Tak
jak się zeszli, tak rozeszli —
w mroku.

Ludzie stoją w mroku onie-
miali. Ciemność, wszechciem-
ność, a w górze tylko gwiazdy.

Magda przewodniczka za-
pala latarnię.

— Koniec, chodźcie za
mną — woła. Oklaski pod
wielką sceną nieba. <<

